

Katarzyna Ryrych
Siedem sowych piór

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

Okladka:
Ewa Beniak-Haremska

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I
w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-926-8

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl



Za oknem jest już lato.
Sam nie wiem, kiedy i jak nadeszło, ale już jest.

Kiedy budzę się nad ranem, słyszę, jak na starym kasztanie za oknem uwijają się ptaki. Robią tyle hałasu, bo uczą się latać.

Dziadek opowiedział mi wszystko o ptakach. Wiem, że jaskółki latają nisko, kiedy będzie burza, a kukułka nie buduje domu, tylko oddaje swoje dzieci do rodziny zastępczej. Umiem naśladować sowę i wiem, że jastrzębie potrafią szybować w powietrzu, wypatrując zdobyczy. Bardzo nie chciałbym być taką zdobyczą: myszą albo zającem. Trzeba cały czas przemykać jak najszybciej i udawać, że jest się niewidzialnym, żeby nie zostać upolowanym. Żeby nie umrzeć.

Oj, znowu powiedziałem to SŁOWO. Zapomniałem, że tego SŁOWA nie należy tutaj wypowiadać.

Tylko czy to ma sens? „Odszedł” znaczy to samo, co „umarł”, ale znaczy też „założyć buty i kurtkę i wyjść”. A jeśli ktoś z nas – dzieci z oddziału – odchodzi – to po prostu znika, bez słowa.

No, skłamałem. Yul – tak go nazywaliśmy, bo był zupełnie łysy – powiedział nam wszystkim „cześć”, ale to dlatego, że do końca wierzył, że wróci.

Dorośli są naprawdę bardzo dziwni. Bardzo rzadko, ba, prawie nigdy nie umieją odpowiedzieć na najprostsze pytania. Opowiadają bajki, w które nikt nie wierzy, i dlatego niektórzy z nas boją się tutaj jeszcze bardziej.

Aha – znów to samo – gubię wątek. To chyba przez te leki, którymi faszerują mnie bez przerwy.

A przecież na samym początku powinienem wam powiedzieć, kim jestem, gdzie jestem i co tu robię.

Mam na imię Wojtek, ale nazywają mnie Maślak, bo jak się mnie chwyci mocniej za rękę albo jak się tylko lekko uderzę, zaraz robią mi się siniaki. Jestem w szpitalu i nie jestem tak do końca pewien, czy nie umieram.

Co prawda nikt nie powiedział mi o tym otwarciu, ale miesiąc temu ciocia przyniosła mi książkę *Bracia Lwie Serce* i drugą, o chłopcu, który miał na imię Oskar.

Ta o Oskarze chyba bardziej mi się podobała, bo miejscami była śmieszna i często myślałem sobie, że byłoby fajnie, gdyby na nasz oddział przysłała pani Róża.

W sali jest nas czterech i tym trojgu pani Róża przydałaby się na pewno.

Bo ja – mam dziadka.

Może nie opowiadajcie o tym wszystkim, bo pewnie niektórzy mogliby pomyśleć, że coś ze mną nie tak. A to nieprawda.

Jedyne, co jest nie tak, to moje kolano. Głowa naprawdę jest w porządku, chociaż czasami, po lekach, zapominam, i bywa, że niebieskie ściany sali zaczynają wirować.

Ale z tym też nauczyłem się sobie radzić. Po prostu biorę głęboki oddech i zamykam oczy. Wtedy czuję się tak, jak w dniu, kiedy ostatni raz byłem z dziadkiem na karuzeli. Wszystkie dzieci pakowały się na drewniane konie albo na dinozaury, a ja wolałem łabędzia.

Pewnego lata dziadek zabrał mnie na wakacje nad jezioro. Wczesnym rankiem chodziliśmy obserwować wielkie białe ptaki, które zanurzały pod wodę długie, giętkie szyje i startując do lotu, rozpryskiwały fontanny drobnych kropel wody. Ich wielkie skrzydła zaczynały melodyjnie szumieć, a wtedy dziadek kładł mi rękę na ramieniu i mówił, że grają.

I właśnie dlatego zawsze lubiłem kręcić się na łabędziu.

Zatem gdy kręci się w mojej głowie, zamykam oczy i słyszę klangor wielkich skrzydeł. Biały łabędź unosi mnie wysoko ponad posadzkę zieloną jak woda w jeziorze, chwilę kołujemy nad białymi łózkami i lądujemy pod kołdrą.

Kiedy siostra Pączek widzi, że dosiadam łabędzia, chwyta mnie za ramiona i sadza na łóżku.

Pewnie boi się, że odleczę.

Odleczę. Nasz oddział często nazywają Farmą Aniołów, bo odchodzimy zbyt często. Ale czego innego można się spodziewać, jeśli w dziesięciu pokojach mieszka czterdzieści Trudnych Przypadków?

Anioły – tak było na obrazku – mają wielkie, białe skrzydła, zupełnie jak łabędzie. Kiedy zapytałem dziadka, dlaczego nie zamienił się w łabędzie, odpowiedział, że łabędzie mają skrzydła jak anioły i że w tym miejscu anioły mogą się źle kojarzyć. Jeśli o to chodzi, to mnie na pewno źle się kojarzą.

Bo, sami powiedzcie, skoro każdy ma Anioła Stróża, to gdzie był mój, kiedy grałem w piłkę i gdy napastnik przeciwnej drużyny niechcący kopnął mnie w kolano?

Gdybym miał Anioła Stróża, to po prostu stanąłby pomiędzy mną a Krzyśkiem i podsunął swoje kolano, prawda? Ale kiedy powiedziałem o tym cioci, bardzo się zmieszala i poprosiła, żebym nie gadał bzdur.

A przecież powinien był to zrobić, chyba że jest taki dzielny tylko na obrazku, gdzie prowadzi dzieci bardzo wąską kładką nad wzburzonym potokiem.

Po tym kopnięciu kolano spuchło i zrobił się na nim guz. Najpierw malutki, potem większy. A potem okazało się, że to wcale nie jest jakiś tam zwyczajny guz.

I dlatego znalazłem się w szpitalu.

Na początku bardzo się bałem, bo w szpitalu umarł mój dziadek. Został po nim zegarek, który sobie wzięłem, atlas ptaków i pomarańcza.

Ale zanim umarł, powierzył mi pewien sekret.

Dlatego nie potrzebuję pani Róży.

Kiedy miałem siedem lat, mój pies, Misiek, wpadł pod samochód. Jeszcze rano bawił się ze mną, wpychał pod kołdrę szpiczasty

pysk, trącał zimnym mokrym nosem i lizał po twarzy. Oczywiście lizanie było zabronione, ale gdy nikt nie widział, mocno zamykałem oczy i pozwalałem, żeby mnie witał po swojemu.

A potem, tego samego dnia, kiedy mama przechodziła z Miśkiem przez ulicę, mój pies zagapił się na kota wędrującego po krawężniku, zerwał się ze smyczy i...

Kiedy go zobaczyłem, wcale nie przypominał mojego Miśka. Na jego maślanym futrze nie było ani kropelki krwi, ale wyglądał jak pluszowa zabawka, z której ktoś wyjął baterijkę.

Płakałem i płakałem, i płakałem, i przestałem dopiero wtedy, kiedy przyszedł dziadek.

Dziadek pachniał fajkowym dymem, miał na sobie miękką marynarkę, a w jej kieszeni miętusy.

Spojrzał na leżącego na kraciastym kocu Miśka i mocno przytulił mnie do siebie.

A potem wstał i powiedział, że jeśli chcę, to możemy Miśkowi zrobić pogrzeb. Pojechaliśmy do parku, tego samego, gdzie chodziliśmy z Miśkiem na spacer, z tą tylko różnicą, że tym razem Misiek odbywał spacer w torbie podróżnej, zawinięty w kraciasty koc. W ten koc, jak powiedział dziadek, zawijano mnie, gdy byłem bardzo mały, więc Misiek nie został pod akacją całkiem sam. Razem z nim złożyłem do dołka jego smycz, numerek, miskę i gumową kość.

Kiedy opowiedziałem o tym ciotce, nazwała mnie i dziadka poganami. Ale ani ja, ani dziadek nic sobie z tego nie robiliśmy.